

Wychwył Grahama



JACEK PODSIADŁO

Wychwył Grahama

[Motto]

*Jest w mówieniu „Nie” ogromna siła i czasem wydaje mi się,
że jest ona tak wielka, iż nawet nią samą można żyć.*

— Elias Canetti, „Tajne serce zegara”

Hymen

Są sobie obcy. Dzieli ich odległość
kosmiczna, przez nic niepodzielna.
Nic o sobie nie wiedzą, to gorzej,
niż gdyby nienawidzili. Żyją w różnych
nierzeczywistościach, w osobnych wymiarach.
Ale dajmy im szansę. Niech zetkną się spojrzeniami
albo wpadną na siebie w ślepym ulicznym wirze
— czy to ich zbliży?

Pozornie? Więc niech ich na ślubnym kobiercu obsypią drobnymi i ryżem
— czy to ich zbliży?

A jeśli on w uniesieniu swą spermę z języka jej zliże
— czy to ich zbliży?

A jeśli ona pocznie i wielkim bólu urodzi
syna, dzisiaj sportsmena, choć wtedy ledwo wyżył
— czy to ich zbliży?

A jeśli będą wierni przysięgom młodości, jeśli ich nie zmieni
czas stawiający na karkach piąty i szósty krzyżyk
— czy to ich zbliży?

A jeśli on ją porani a ona go strasznie poniży
— czy to ich zbliży?

A jeśli ją zamkną w obozie, zgwałcą a potem jej żołądek
nietknięte od urodzenia włosy maszynką ostrzyże
— czy to ich zbliży?

A jeśli ona umrze i on nieprzytomnie obwieści
jej zwłokom: „Pamiętam, com ci, bezmyślny, przyrzekł”
— to ich nie zbliży?

Niewiele

Niewiele kobiet miałem w życiu.
Może dlatego żadna nie była nieważna.
Jakie ogromne miasta. Rozglądałam się
za rudymi dziewczynami, bo każda przypomina Magdę.

Dziewiąty wiersz przeciw państwu

Rozwiązane wszystkie węzły na sznurowadłach,
wszystkie labirynty w pisemkach dla dzieci,
wszystkie moje „problemy”. „Tata, wstawaj!”
„Chcę, koniecznie!” „Opowiedz mi o Włóczykiju”.
W niebie twoich rozkazów nie ma miejsca na grzech
wątpliwości, wszystko jasne, przezroczysty każdy dzień.
No więc tak. Pewnego razu Włóczykij
zamiast w swej leśnej norce obudził się na wielkiej,
nasłonecznionej łące. W malowanej luli. Przeciągnął się, ziewnął.
Co za historia. Nie lecą tu żadne bombowce,
nie skrada się czarny kidnaper, hałaśliwy ratunek
szwarcenegerów, vandammów, nie będzie tu potrzebny.
Mleko, miód, biel, nieśmiałe żółcie, nawet przy drobnych zranieniach
pastelowa krew. Motyle i aniołki. Nocą
nietoperze, bezszelestni nawigatorzy
naszych snów. Liczenie baranów sto razy
lepsze niż „Milczenie owiec”, miara twojego oddechu
porządkuje miał myśli, piach i mak. Równy deseń firanki, księżycowej woalki,
odwołuj się do tego wzorca, kiedy mnie tu nie będzie,
masz prawo urządzić świat jak swój własny pokój, pamiętaj,
truciznę podsuwa się najczęściej ukrytą w słodyczy.

Kładąc Dawidowi pod poduszkę pre- zenty

Lidce.
Kładąc Dawidowi pod poduszkę prezenty,
po pierwsze, niespodziewanie jestem kimś świętym.
Po drugie, wreszcie światy za pierwszym zakrętem
czasoprzestrzeni to najbliższe okolice.
Po trzecie przez chwilę jestem własnym rodzicem
i rozumiem twarz Matki zniszczoną przez kłótnie,
na której rano tkwił giocondowski półuśmiech
tajemnej wiedzy. „Ktoś chodził w nocy po domu,
sprawdź, może Mikołaj dał ci coś po kryjomu...”

Po czwarte wierzę, że niweluję złe czyny
podkładających bomby, stawiających miny,
i gładzę własne grzechy, wygladzając koldrę,
pod którą to dziecko nie dobre i nie mądre
lecz poza mądrością i dobrem ma swój świat, w którego obręb
nie wejść już po poplątanej nitce.

Na skraju Puszczy Solskiej

Biologiczny zegar uderzył we mnie osiem razy i obudziłem się
ciężki, zapadnięty wątłym ciałem głęboko w leśną ściółkę.
Stanąłem w pierwszym słońcu obok choinki ubranej w nasze mokre po kąpieli kostiumy.
Na boisku znalazłem wczorajsze ślady piłkarskich korków i moich bosych stóp,
zabrałem też do umycia garnka nieco piasku, którym chłopcy wysypali linie autów.
Nad przepustem wodnym patrzyłem na ryby stojące w prądzie i poprawiałem włosy, mając
swój cień za lustro.
Mimo niedzieli słychać już było kombajny, niemrawe żuki-giganty gęsto widywane na
szosach i na polach.
Wróciłem do namiotu, gdzie Magda przyjęła lodowatą łapę na ciepłą, uśpioną pierś.
I ponieważ cieszę się, że moja poezja nie wymaga uczonych przypisów, powiem wprost:
słuchałem ptaków i szumu rzadkich brzoź pośród świerków, śledziłem też marsz pająka
po moim śródstopiu.
Zagotowałem wodę nad małym ogniskiem a gdy przejeżdżał traktor, położyłem się, żeby
nie być widocznym.
A kiedy jeźny chywiły mnie za włosy i pasikoniki skakały po twarzy, zrozumiałem, że
jestem wolny.
Nadeszła chwila, że wszystko umilkło i ja już nie chciałem niczego,
i trwała tak długo, aż wrócił zapach palonej żywicy i dziecko krzyknęło w oddali.

Melzak. Piegowata piękność

Oktagon ceglanej, zabytkowej wieży mierzy w niebo jak rakietę gotową do startu — —
—

Stoję w oknie pustego internatu szkolnego obok płonącej słabo świeczki.
Łukiem szosy w dole z rzadka przejeżdża auto o dwojgu płonących oczu — — —
I dwaj rowerzyści bez świateł wypadają zza zakrętu, ogumione widma.
Magda śpi zawinięta w siebie na jednym z trzech żelaznych łózek — — —
Wśród posterów gwiazd popu i pocztówek z biblijnymi cytatami zostawionych
na ścianach przez dziewczyny, które wyjechały na wakacje.
Robert Gawliński o spojrzeniu eunucha obok zadumanego Ojca Kolbe, soft-erotyczne
fotory i Donald Sutherland jako Jezus — — —
Przez szum drzew i terkot cykad przebijają ryki miejscowej żulerni.

Gdzie się podziały hamernie, warsztaty gwoździarzy, dom akcyźnika i nędzne chaty bud-
ników? — — —

Tylko gwiazdy, które są na niebie, pozostały tam, gdzie były wtedy.
Idąc do toalety, wyobrażam sobie harmonijny harmider panujący zwykle na tym ogrom-
nym piętrze — — —
A potem kochamy się przy świetle latarki aż wyczerpią się baterie.
A potem ona śpi i kiedy leży tak z dłońmi na brzuchu podobna do umarłej — — —
Znów nie mogę przegnać myśli o tym, że niedługo to ciało zgnije w ziemi.

W gwiazdnym projekcie czasu nasze niestałe istnienia nie znaczą być może nic — — —
Wolę jednak wierzyć w miejsca w pierwszych ławkach wykopane dla nas.

Potrzeba wiary

Kierowca znał trasę na pamięć, lecz raz i on musiał zwolnić.
W Rymanowie ujrzeliśmy z okien autobusu
pochód z czarnymi sztandarami i trumną. Ludzie
umierają; cała niezwykłość polegała na tym,
że tęcza właśnie napięła swój imponujący łuk
nad górami. Łatwiej mu teraz iść do nieba,
zauważyła Magda. Po szczeblach barw. Wszystko
płynie; usiadłem na kamieniu pośrodku górskiej rzeki,
pisząc jak Balzak, z nogami w zimnej wodzie. Palce
kostnieją wcześniej niż pięty. Woda przyniosła procę.
Z niedaleka, bo gumka nie zdążyła sparcieć.
Chciałem z niej zrobić użytek, kamieni nie brakuje,
lecz jest do niczego, nie tak się mocuje
ten kawałek skóry. Słońce, wiatr, ptaki, śpiew
wody na kamieniach, to więcej niż potrzeba. Jestem
przekonany; jak święty Krzysztof, który rozważnie
przenosił dzieci przez rzekę, a potem został
patronem wariatów za kierownicą, święcie przekonany.

Drugie życie

Sabotaż na Systemie Szkolnictwa!!! Nie dość,
że wagaruje, aby spotkać się ze mną i kochać na przykład
w dzikim sadzie, o który biskup toczy spór z technikiem,
to zjadam jej też kanapki zrobione przez Matkę.
Żółty ser, margaryna. Perwersja. Rozmawiamy
o Paracelsusie albo o orzechach,
że ich zielone łupiny brudzą palce.
Łgniemy do siebie jak jednoimienne legwany.
Uczymy się siebie jak wierszy, na pamięć.
Słoneczny zegar odmierza nam głodowe racje.
Schodzimy ze wzgórza, nie mamy cienia.

Wątpliwości. A jednak
unieruchamiamy w potrzasku kalendarza następne ruchome święto.

Włosaty

Widok jak z widokówek. Słoneczny blask czepia się obramowań kamieni
sterczących z dna potoku, którego korytem Magda
oddala się z „Chłopami” pod pachą i sandałami w rękę,
w prześwietlonej sukience. Potem przychodzi jej pomóc
umyć długie włosy porywane prądem, półnagi, ze swoimi
uczuciami z cepelii. Odgrywam miłosną scenkę z czołówki „Janosika”

(skakanie po kamieniach, wzięcie w objęcia, obrót)
przez cały czas pogwizdując odpowiednią melodię.

Przez cały czas pogwizdując odpowiednią melodię.

Przez cały czas pogwizdując odpowiednią melodię.

Znowu uległem rytmowi. Jak wtedy, gdy tętno dyktuje
swoje iloczasy potężniejszemu prąciu, bezpodstawne tempo.

Kilka przypuszczeń dotyczących na- tury śniegu

Śnieg wycisza wszystkie nasze wnętrza
jak studia, w których utrwalona zostaje
muzyka. Wznosimy trwożnie oczy
ku dachom domów, gdzie szykują się
szczerbate grzebienie sopli. W gruncie rzeczy
nawet kierowcy TIR-ów narzekający w TV
na zasy i na piaskarki, nie narzekają.
Staruszki sapiące przy szuflach ze sklejki
przyjemnie odczuwają zapomnianą obecność
swych mięśni. Wąskie tunele wydeptanych ścieżek
każą ocierać się o nieznanomych.
Wybielony Śląsk. Na dworcu w Katowicach
mówię trzy razy „nie” ludzkiemu sępowi
pytającemu o trawę, o grzyby, a na koniec o drobne
i jadę do Ząbek, gdzie gram z Grubym w piłkę
na srebrnym boisku w świetle reflektorów
a potem on zapewnia swoją Matkę,
że jestem jak Mickiewicz, bo uczą o mnie w szkole,
na co odpowiada „No nie mów” i „Akurat”
podczas gdy ja obmacuję opuchniętą kostkę.
Słucham starych piosenek Velvet Underground,
wyglądam przez okno na praskie slumsy i myślę
o naszej Miłości czystej jak śnieg zanim spadł,
jak oczekiwanie i jak rezygnacja, jedyne zwycięstwa.

Wielkanoc, koniec wieku. „Byłem to- bą”

*Żyli w celibacie, nie palili tytoniu ani nie pili alkoholu. Było oczywiste,
że podlegają jakimś parazakonnym regułom, ale w tym sąsiedztwie,
gdzie każdy żyje swoim własnym życiem, nikt się nimi nie interesował.*

Gazeta Wyborcza, 28 III 1997.

Lecz słowa te wydały im się niczym baśnie, i nie dawali im wiary.

Zawsze to samo. Trudności z otwarciem ust.
„Ale było, nie? Zabiło siedem osób,
a u mnie koło kościoła zważyło świeży mur!” Na granicy miasta
przestawia taksometr na metrum heksametru.
Wycieraczka maże nocne pejzaże malowane na szkłe,
w torbie na kolanach list Magdy. „Twoja ruda zdobycz”,
tak się podpisała. „Ale ekstra widać tę komętę,
nie? Szkoda, że teraz pada”. Łypie we wsteczne lustro, widzi, że szkoda gadać,
sapie i skupia się na skrywanej radości z niezłego kursu nad ranem.

(Ta kometa, fakt. Z grubym rudym warkoczem, doskonale widoczna.
Pod przybranym imieniem zachłannych Ojców chrzestnych,
Hale’a i Boppa, mknie przez warstwy kosmosu płonąć, płonąć, płonąć.
Przyznaję, też lubię wieczorem wyjść z domu i się gapić.

Bryła
brudnego
lodu.

A za nią pięćdziesiąt milionów kilometrów ogona gazów i pyłów.
I, że za dwa tysiące lat pojawi się znowu. Nadzieja, że ktoś tutaj
będzie jeszcze wierszował. Albo jeszcze *nie*:
może planetą będą władowały zielonookie anusy
uodpornione na bakcyl, który zmiecie mocarstwa i oszalałe narody;
sympatyczne jak czterdzieścioro samobójców z San Diego,
którzy katapultowali się za pomocą barbituranów na podążający śladem komety
pojazd kosmiczny Ti, gdy był najbliżej Ziemi. Albo ta wichura.
Ponad sto na godzinę. W mieście pełno szkła i potłuczonej dachówki.
Czasem sucha gałąź frunęła z wysoka jak młody pterodaktyl,
który wypadł z gniazda. Przewracali się ludzie
na żenujących dwu nogach).

„O tu tu, w lewo!” — przemogłem gwałtem szczękościsk. „Zapomniałem uprzedzić”.
„Spokojnie, spokojnie, pamiętam, już kiedyś wiozłem pana”.
Dwa tysiące lat temu. „Wesołych świąt”. Trzaśnięcie, warkot silnika,
mżawka. Symetria wody i ognia. Więc jak to było? Było
jeszcze ciemno. Magdalena spojrzała na odsunięty kamień.
Zaalarmowany zastępca szeryfa ujrzał leżące prześcieradła
i chustę na głowę zwiniętą osobno na jednym miejscu.
„Odór był tak silny, że policjanci musieli założyć maski”.

Wszyscy się rozeszli, lecz Magdalena trwała na zewnątrz i płakała.
Ktoś stanął za jej plecami, zapytał, co się zdarzyło.
„Był dobry, taki łagodny, wypędził siedem demonów
z mojego ciała, i za co!” „Wytrzymaj lzy, przestań szlochać”.
Kątem oka dostrzegła, że stoi w jednym — i to pół — bucie.
„Zabili go”, wyszeptwała zbiegającymi wargami, „zabili go”. „I uciekł?”

Pozytywka

Na ławce został śpiwór i francuska książka,
filiżanka po kawie. Marylou albo Rysio
musieli tu rano korzystać z październikowego słońca.
Ich prawdziwe imiona to Marlene i Richard,
uczą się pilnie polskiego, na marginesach książek

zostawiają zapiski: „djenkouyem, smatchnego, gdje, chechtch, chiedem, ochiem, djevinch, djechinch”. Szeleszczą liście dębu pod kołami wózka, gdy dmuchnie następne płyną jak armada dłubanek, które jakimś cudem uniosły w powietrze swych ciężkich czarnych wioślarzy. Jeden kładzie się tuż obok twarzyczki Dawida, wózek jest odkryty. Pociągnięciem za sznurek uruchamiam księżyc z pozytywką w środku, płynie słodka melodia, próbuję przepowiedzieć synowi przyszłość, osiedli się gdzieś na wąwlu, zbuduje warowny dom, kiedyś spadnie z konia albo polecą na Księżyc szukać swojej melodii. Teraz gałurzy w swoim afrykańskim narzeczu: „gle, ujaa, ojeła”. „Bhasobha”, odpowiadam, „umusa kankulunkulu”. I Dawid wysła swój uśmiech: nikomu, bo jeszcze nie jest oddzielony od świata, na razie wszystko jest jednym, na razie wszystko jest przed nim.

Is everything going to be all right?

Nie lubisz tymczasowości. Spania pod śpiworem, garnka zamiast imbryka. Lub nie obchodzi cię, że równo osiemdziesiąt cztery lata temu Apollinaire poznał Madeleine. I przejmujesz się szaleńcami w rządzie. Dużo nas dzieli. Ale gdy ogień przychodzi, stapia nas w jedno z porcelaną, popiołem po cukierkach, węgielkiem jabłka. Wielka kosmiczna spalarnia. I kiedy nas cucą strażacy w pulsującej czerwieni kombinezonów, zostaje w nas na zawsze odrobina drugiego, wraz ze śladową ilością porcelany, cukru, owocu. I patrzę w twoje dziwne, zasmucone oczy. I wtulasz się we mnie, wczepiasz. Anioły rozwłóczą po polach zbędne strzępy naszych ciał, nawóz. I w telewizji mają szczęście, bo gdybyśmy włączyli prognozę, musieliby zapowiedzieć wszystkie pogody naraz. Leżymy. Leżymy. Po wykonaniu wszystkich miłosnych prac żęncy wybierają ostatnie kłosa z naszych mięśni. I pewność przychodzi do nas w sekrecie. To się nie mieści w głowie, to się nie mieści w łędźwiach, to się nie mieści w sercu, to nieustannie przepęlnia każde z pomieszczeń i naczyń, jakie w nas można otworzyć. *Jasność*. Wracając do polszczyzny: kupiłem w końcu ten czajnik, szkarłatny, z ustnikiem gwizdka. Faktycznie duża wygoda. Wypowiem tę rzecz całkiem prosto: niech wiecznie trwa ten eksponat.

Dobrošov. Niepewność

Zrazu nie wiedziałem, co oznaczają strzałki z napisem „Pevnost’ Dobrošov”. Ciąg umocnień na szczytach rozjaśnił mi w głowie. Twierdza. Rozbiliśmy namioty na szczycie góry, na dachu bunkra, śledzie weszły do połowy. I tylko do połowy pewność, że nie zdmuchnie nas wiatr, że to, że tak, że na wieki. Wyszedłem rano na świat i drapieżny ptak odpłynął w błękit jak relikw. Spojrzałem na blok betonu z prętami zbrojeniowymi jak źle skręcony warkocz i pomyślałem o czasach, gdy także czułem się mocny.

**** [Wylania się z gąszczu nad rzeką...]*

Wylania się z gąszczu nad rzeką w jednoczęściowym kostiumie bordo. Piętnaście minut wcześniej z namiotu sztukowanego żerdką dochodził regularny sygnał jej ekstazy. Już tylko oni i my zostaliśmy na leśnym biwaku. Jej facet ociężałe krąży, coś zgubił. Białe chudzielec. Staram się nie zwracać uwagi, obserwuję pionowy start osy, godelka niezapominajek, robaka na moim trampku: jest segmentowany, mleczny we wzory Kwakiutłów. Rolują karimaty. Godzina do południa, góry nadstawiają grzbietów upałowi. Podoba mi się sposób, w jaki dziewczyna stąpa po skoszonej łące. Poddaję się. Ich czarowi. Leżąc w trawie śledzę, jak jedzą skąpy posiłek, on się oblizuje, ona analizuje swoją twarz w lusterku, wstaje i zwija śpiwór, idąc za nim w kucki, chyba wysportowana. I stają mi się bliscy, choć z oczywistych powodów rozbiliśmy namioty na przeciwległych krańcach polany. Co mnie tak pociąga? Nie lep seksu, też byłem już dziś na szczycie; nie chęć by zawrzeć znajomość, nawet nie mówię im „cześć”. Symetria, w jakiej żyjemy. Mam w nim brata-bliźniaka, jeszcze przez dwie, trzy godziny, aż z garbami plecaków odejdą nie patrząc na nas, zajęci Swoimi Sprawami, tym, co mnie pociąga najbardziej.

„Po tysiącu lat ciszy”

Przeszedł deszcz oczyszczający jak spowiedź. W nowym powietrzu ptak kłaska o Czczocie czy o kłesce Czczonii. Wszędobylska trawa. Rosa oraz eros pozostawiony na pamiątkę czyjejs ostrożnej Miłości. W dole panorama podgórza, świat jak na dłoni. Wiatr złamał gałąź jabłoni, nocny zawadiaka.

hulaka. Nie w modzie jest być w zgodzie
z rzeczywistością! Zmyśliłem tylko erosa, bo już Miłości nie.

Petnia

Drabiny dla turystów upodobniają „skalne miasto” do puebli.
Komendy wspinaczy brzmią wśród pionów ścian jak w kościele.
Znacząco czy nie. Fortepian Karkonosza, masywny głąz, milczy.
Przyjść tu nocą. Lecz Magda się boi.
Rano znajduję w trawie ciała śpiących rycerzy w mokrych od rosy śpiworach.

Proparoksytoniczny akcent umelodyjnia frazę
płynącą w środku nocy ze środka jeziora Kačinec.
„Wyborna ta voda, Adamie”, mówi zdyszczonym głosem
spóźniona tutejsza Ewa. On się nie odzywa. Wszystko się odbywa
pod ratunkowym kołem księżycy.

Onieśmielany przez ryby, ich wieczystą obecność,
splukuję z siebie brud, brodząc w strumieniu.
Wierność, wytrwałość, cierpliwość zajmują moje myśli
gdy patrzę jak korzeń sosny oplótł skałę, absolut,
i rośnie, i trwa na kamieniu, samotnie górując nad światem.

Przychodzi baba do lekarza i mówi: nie czuję bólu

Śpiącej M.

Spełniło się.

Głośno o mnie.

Kochają mnie kobiety.

A bywało inaczej. Mruk lodówki i takt zegara
nie wystarczały, czasem i psa było mało.
Zbędny, nosiłem w gardle globus histericus,
trującą tabletkę, która uwięzła w pół Drogi. Dzisiaj, cóż, tak wiele mnie
nie dotyka, że mógłbym pracować w cyrku
jako ten, obok którego wirtuoz ciska nożami. Dzisiaj wiem:

o czym innym marzyłem. Mieć w sobie wieczny zapłon,
eolską harfę w piersiach, ciągłą gotowość, by biec,
prozac życia. Jak święty, który oszukał, chodzę w aureoli
noży, które drżą jeszcze wokół znudzonej głowy, precyzyjne chybienia.
Nie marzę, żeby orgazm dłużył się jak godzinki ani o eliksirze
młodości, choć marzę: niech będzie jak dawniej, tylko troszeczkę mniej.

Międzygórze. Drzwi

Pokoje na godziny. Ulice, domy cierpliwie ćmiące
faje kominów — na godziny. Góry też nie na zawsze.
Myjąc się odnotowuję napis na butelce pod lustrem:
„Kills all known bacteria”. Ważne są tylko te
bakterie, których jeszcze nie znamy? Młodzi o ładnych
(wpływ otoczenia) twarzach śpią jeszcze gdzie kto padł
po libacji. Letargowisko, nikt nic nie kupuje, tylko szkolna wycieczka
kipi energią i murarze wbrew sobie latają kamieniami
fundamenty budynków podmytych przez powódź. Gdzieś w górze
Michał Fostowicz oddaje się medytacji i są szczeliny,
przez które pada blask. Byłem tu przed
dziesięcioma laty, aż się boję, czy przetrwała skała,
którą mam na zdjęciu. Druga wycieczka: rozbiegane oczy,
nerwowe ruchy rąk, nikt nic nie kapuje. Tadeusz dźwiga siodło
i wielki od piwa brzuch, od południa ma uczyć
dziewoje konnej jazdy a myśli: jestem stary.

Dlaczego?

Gdzież pójdziemy? Może znów nad rzekę
pełną tajemniczych fusów lumpenświata,
nad czarną wodę, której esencją
jest przemijanie. Razem zrobimy siusiu,
na stojąco, jak dorośli. Srogiemu przykazaniu
dorosłości nie zwiejesz, szybkobiegaczu, przegunie
stający na tle nieba i skaczący w Ciemno,
gdzie jedynie cudem i tylko do czasu
czekają na ciebie amortyzatory
rodzicielskich ramion, cyrkle Miłości.
Zobaczymy: kaczkę, dryfującą gałąź, opoja w malignie, nasze cienie
Sto razy spytasz, dlaczego. Spróbujesz coś wycyrklować,
żebym cię wziął na „jo pata”, na szyję.
Zmęczone nóżki albo coś, albo coś.
Coraz więcej ważysz.
Coraz więcej rozumiesz.
Zrozum, że czasem nie wiem, dokąd pójść.
Przejdziemy przez most.
A potem? Zobaczymy.

*** [Wstałem o piątej...]

Wstałem o piątej. Był tam, gdzie go zostawiłem
wczorajszego wieczoru: nowy, pachnący świat.
Łodygi nabite sokami jak strzelby.
Z każdym oddechem utleniały się w głowie
dwa świeże sny o tobie jak dwa sekrety alkowy.
Zostało trochę popiołu tam, gdzie wczoraj widziałem
grupkę tubylców przed blokiem, na plastikowych krzesłach,

w cieniu pojedynczego drzewa, przy grillu.
Ponura karykatura obozu pod gołym niebem
Szoszonów, Tarahumarów, Ajnów lub Tuaregów.
Zew jest zapewne ten sam. Czyją karykaturą
jestem ja? Nie chodzę między ludźmi w płonącej odzieży,
występuję dość często, jak pospolita roślina,
moje znaczenie jest wyolbrzymione, dotknij mnie
i sprawdź.

*** [Dotykany wszędzie szarym my- dłem zmierzchu. . .]

Dotykany wszędzie szarym mydłem zmierzchu,
ani drgnę. I przynajmniej z wierzchu
czysty sięgam po kartkę, by jak pies do zwierza
przymierzać się do niej. Magda mi się zwierza
w liście zza Sandomierza: „Ubieram się ciepło, zwłaszcza
lubię mocno się ścisnąć paskiem płaszcza,
to jest jak *twój* uścisk”. I dalej: „Nie palę po kiblach, alkoholizuję
się tylko przy tobie, do kina chodzę sama,
wieczory spędzam w domu, co za życie! Nawet się obywam
bez narkotyków”. Przelatuję wzrokiem jeszcze raz te zdania,
czuję się wymyślony jak Hamlet i Dania, dziwny amalgamat
życia i martwoty. Gdy język mnie uśmierca, ożywia mnie dotyk.

Thoreau: wstawaj wolny od trosk przed świtem i poszukuj przygód

Językiem i wargami tak nieporadnymi w mowie, sprawnie uruchamiam rytmy ukryte
w niej jak mechanizm w pudle instrumentu.
Traperskim nożem przekrawam na pół mydło z powodu różnicy płci, bo natryski dla
pań i panów są na campingu osobne,
Kopię w drzwi, za którymi kryje się ktoś, kto rzucił w nas z okna jajkami a teraz drży
ze strachu, bo muszę wyglądać strasznie w judaszu choć oba śmieszne pociski chybiły.
Przeszedłszy jakoś przez pełen dziur most kolejowy nad Pasłęką, rozstawiamy po
ciemku namiot za miastem, w miejscu upatrzonym z okna pociągu,
Zsuwamy się stromą ścianą wąwozu Wąlszy nieopodal staropruskiego grodziska,
urzeczeni sobą lecz przytomni, bez długoterminowych przysiąg,
Chwilę zespolenia przeżywamy i wtedy, gdy ze ściśniętymi gardłami patrzymy na
perseweracyjny, kilkumetrowy szlak psa dingo w ZOO, do którego weszliśmy
niechcący i nielegalnie,
Przywiązani do swoich plecaków żołnierze mijają nas z zazdrością na głównej ulicy
Braniewa, da Bóg, wezmą kiedyś odwet gwałcąc i paląc.

Bawiąc się tęczową piłką Dawida

Bladoróżowe, miały gęsią skórkę. Zdaje się, kosztowały 16,50. Przebite kurczyły się z sykiem i twardniały. Leżała potem taka w agrestie lub rabarbarze, kula wgnieciona kopniakiem. Pękały jak bańki mydlane, ile meczów zostało na zawsze niedokończonych. Jesienią Matka piekła „burocorz”. Z buraków cukrowych ściąganych z furmanek kijem zakończonymi gwoździem, obok była cukrownia. Niezręczny harpunnik ryzykował chłaśnięcie batem, ale warto było. Był też Saturn, pojazd księżycowy od księdza Prawicy, na baterie. Próg czy garść kasztanów, zawsze parł do przodu, dając sygnał świetlny... Korzystając z chwili siadam, plastikowy brzdąc, w jego kabinie z pleksy i ruszam na wojnę z czasem, miażdżąc gąsienicami wszystko napotkane, rozkazuję się cofnąć, rozkazuję się cofnąć, napompować wszystkie tamte gumówki, uformować kolejki z fur, których już nie ma, teraz jestem prawdziwy, błyska nade mną światełko.

Chwywanie powietrza

„Dziadku Mietku! Dziadku Mietku!” — wołanie Dawida rozkrawa mi pierś jak krajzega. Posypany trociną mój „tatuń” podnosi nieśmiało oczy znad maszyny. Już wczoraj patrząc z Drogi w oświetlone okno, widziałem, że jest stary. Pisał coś w zamyśleniu, z okularami na nosie jak człowiek uczony. Teraz widzę po stole, że rozwiązywał krzyżówki. Widzę tę samą od lat popielniczkę, radjko, książeczkę do nabożeństwa, cyrkiel osadzony na tanim długopisie, obok rysunek techniczny (wciąż plany!), w słoiku czosnek z cytryną na astmę i dwie krople powietrza w wasserwadze, jedynej zabawce dla Dawida. „Mój tatuś miał 64 lata jak umarł, ja już mam 66” — śmieje się. „Ale palenie to muszę rzucić” — dodaje z tym samym przekonaniem, co zawsze, i sądząc po geście myśli, że podniósł wskazujący palec, dawno obcięty. I oto zza moich pleców dobiega przepiękny, minorowy dwudźwięk znajdujący rezonans w każdym zakamarku zapchanej pamięci. Trwa to długo, ponieważ uderzeń jest jedenaście. „Śpieszy godzinę i dziesięć minut, chyba tę sprężynę z żyłki ma za tępą”. „Naprawiłeś go?” „A jakoś nie było roboty, to zniosłem go ze strychu i podłubałem”. Chyba jest dumny nad miską barszczu z proszku, choć mogę się mylić. Naprawił zegar. Poprawił świat.

Historia fioletowego podkoszulka

Romb okna, prosty zygzak rynny, pozimowa pustać pól.
Spisuję, żeby nie przepadło (wiem, że przypadnie).
Z listu od Magdy: „Ukochańcu, wróciłam prawie o północy,
czuję każde ścięgno — cały czas tańczyłam,
taka muzyka była. A wstać musiałam już o piątej,
o szóstej była msza za dziadka, byłam przed
ołtarzem św. Jacka i cały czas myślałam o Tobie”. I:
„To jest bardzo filmowa, niewiarygodna historia”.
Chora chęć, żeby ci obcy, z epok, które mają przyjść,
wiedzieli, co było i jak. Film nie jest godzien opowiedzieć
naszej historii, wiersze tak. Szczegóły: strąk
dużego spinacza biurowego, rana na nodze
żółta od rywanolu, podłużny znaczek z okazji
światowego dnia poczty, na którym z dylizansu
parobcy wyprzegają rozstawne konie, pocztylion ma trąbkę u pasa,
w słomie bawią się psy. „Obok mnie leży Twój podkoszulek”.
Po pierwszym praniu zbiegł się jak czas teraz.
Jak tłum na Miejsce Wydarzenia. Nic się nie stało.
Nawet grudka rudy głęboko w ziemi nie zostanie z tych egzaltacji.
„W drzwiach domu mam zamek Gerda. Jak go sprzedają,
to z pięcioma kluczami. Już zgubiłam trzy.
Ciągle gubię klucze, po prostu. Ale tego od Ciebie
nie zgubię na pewno. Bo to klucz do mnie...”
Podłoga zasłana maszynopisami, zimowy pejzaż, jestem jurorem
w poetyckim konkursie. Słodczy grafomani. Dmuchałce
na wietrze, ulatujące sylaby. Dlaczego rząd nic nie robi
w sprawie entropii? „Absolutnie Twoja”. Gaz do dechy,
celki zakonne, dyskoteki, gwałt
ze szczególnym okrucieństwem. Byłem głupi, że nie przemyślałem od razu
łydki jodyną. Można było uniknąć... Głupi jestem! Niczego
nie było można uniknąć! Józef Rybowicz: „I taki już pozostanę
w tym niespokojnym życiu... Taki już pozostanę”.

Ogień, lód

Ich skojarzenia są oczywiste, skoro na widok ogniska, namiotu, mnie z gniazdem na
głowie
rowerzysta wrzasnął z mostu: houk! Czasem kierowca TIR-a z zazdrością beka klaksonem.
Bo też obrazek jest sielski: łuk Huczwy, łąka w srebrze ledwie opadłej mgły, zapodziany
bocian,
obłe szachownice trzech krów i nasze rowery pasące się na cyplu.
Słońce jeszcze nisko. Sam doceniam uroki obrazka, mocząc stopy w rosie
a usta w herbacie. Oddałbym go, gdyby można było,
do tego muzeum, zamiast głosu na taśmie. Plus wczorajsze
arcyroje komarów! Brzuch mam gorący od słońca, plecy zimne od cienia.
Dualizm ich wyobrażeń jest jasny, w takim świetle żyją.
Przyjaźń, nieprzyjaźń, niechęć, chęć. Jestem po stronie ognia,
lecz myślę, że na tę Chwilę żywioły połączą swe siły.

Lelów. Niech żyje śmierć

Niekształt jeziora jak andrzejkowa wróżba,
wiatr, suchy szelest zeszlorocznych trzcin. 150
kilometrów w nogach, masło zmęczenia dobrze ubite
w mięśniach. Jak uliryczyć rower, zabytkowe złożenie
kilku podstawowych mechanizmów? Uczulenie
na barwy, pojedyncze zapachy, dźwięki w pozycji
izolowanej. Nos szarpie narkotyk powietrza.
Gotowe obrazy: latawiec nad łąką maleńki jak plemnik,
jedynak w całym błękitcie. Dzieci podążające
na Mszę, ze święconką w plecionych koszyczkach
jak z chorym kotem, uważne. Wilgotne zatoki zmierzchu,
punkcje halogenów. Kubistyczny kościół jak makieta rakiety
oświetlona od wewnątrz, odłączam rzeźącą prądniczkę,
żeby usłyszeć pół zdania od dowódcy lotu: to noc
rozerwania potęg
zła i ciemności, śmierci i grzechu. Tak?
Rozbijamy namiot, nad nami okrągłe
odblaskowe światło księżycy. Wodne ptactwo jęczy
na sto sposobów, z oddali słycać co trochę
głos, jakby olbrzym dmuchał w butelkę po piwie
wielkości bojlera. O jutrzni będą nas budzić
dzwony i huk jak z armat, nieznanym mi zwyczaj,
umarły by zmartwychwstał. Runą wszelkie budowle,
każdemu wcześniej czy później
zawali się świat, u podstawy jest kilka
prostych mechanizmów, zagadkowe złożenie.
Martwo szeleści przeszłość. Trwoga. Wesołych świąt.

Lubię patrzeć

„Lubię patrzeć” — mówię cicho i to wszystko wyjaśnia. Dłoń
mam ciemną i żyłastą jakby to śmierć ją kładła
na dziewczęcej piersi. Królewski orszak zmierza donikąd na jaskrawej panoramce,
to samo wąż wrotkarzy na przelotówce za oknem. Prawie-prawie nie ma
po co żyć. Skończone liczby na tablicach rejestracyjnych. Mroczne teatra mieszkań,
gdzie wystawia się rodzinne dramaty na pokaz przechodniom.
Trunki paliw na benzynowych stacjach. Gruchawki domofonów, kościelne kołomyje
pozbawione tempa, niczym tysiącpolowe warcaby na szachownicach posadzek.
Doczesne piękno ciał kruchszych niż flakony perfum. Pośród targowiska
wagi i miary, zegary i liczydła, zniewagi. I góry relikwii za granicami miast.

Młyny Boże

Dzwonią na „Anioł Pański”. Daremnie księżulo
szarpie się ze sznurem, nikt nie odrywa rąk
od warsztatu. By nadać sens nucie spizu,
odmawiam pod nosem triadę wbitą do głowy w dzieciństwie.

Antyczne zdrowaśki. magiczne „słowo — ciałem”.
Tykanie budzika daje rytmiczną podstawę.

Spacer z Dawidem mają swój ryt i własne ikony,
kolejno „Kamyki”, „Pies duży”, „Pan na krzyżu”, „Ding-dongi”.
Ding-dongi są trzy, lecz żaden, pukam się nagle w czoło,
nie ma sznura. Pewnie je uruchamia pstryczek-elektryczek
lub prosty komputer z timerem. Unowocześniona wersja
modlitewnego młynka. Dobrze, ale co z magią?

Przecież puszczają miliardy wewnętrznych spawów materii,
gdy Oświecony wypowiada słowo, które powoli
nabiera kształtów, wypełnia się, ucieleśnia.
Czy stworzą święty skaner niesiony mocą tysięcy
gigabajtów, który zrobi to za nas, wystarczy klęknąć i kliknąć
„Enter”? Boże, stój z Mieczem u tego wejścia.

*** [Od rana skrzypienie dulek...]

Od rana skrzypienie dulek, warkot motorówek.
I płyną: spaleni słońcem, z psami, termosami, sami.
Mącciele wody, siewcy śmiecia, hodowcy hałasu.
Wspominam więc innych, sudeckiego Niemca,
pogodnego starca godnie znoszącego
zmierzch pilarskiego żywota lub tę parę,
która z jakiegoś powodu wydała mi się lepsza,
choć ujrzałem ich z szosy może na pół sekundy:
dziewczyna przegięta w tył z głową zatrzymaną
by zdjąć ustami wiśnię z drzewa, gdy nogi idą dalej,
więc on przytrzymuje ją z tyłu. Zewnętrzny pozór,
brud gasi już nawet światło tych pojedynczych gestów,
lecz miło ulegać nowym perspektywom
na serpentynach: zobaczyć od spodu czyjeś życie wczepione
w spad góry, z detalami odłożonych narzędzi i suszących się ubrań,
zajrzeć do wózka kołuszącej go zniszczonej kobiecie wypływającej robaczywy kęs jabłka
poniżej. Blisko, zupełnie inaczej, niż w oczach chłopca
mającego świat u stóp, gdy stoi na moście
szykując się do skoku dwadzieścia metrów w dół,
jeszcze się trzyma barierki, pręży, odchyła głowę
i pluje z rozmachem w wodę, okazując pogardę
wszystkiemu, żądając podziwu i zdobywając go,
choć kiedy leciał wydawał mi się głupi i stracony.

*** [„Teren prywatny, wstęp płatny...”]

„Teren prywatny, wstęp płatny. Henryk Sułuja”, namazane na desce.
A pięć jabłek podanych na dłoni rudej krowie, czy nie było zapłatą?
Mieliśmy lunetę, więc stawali mi się
bliscy ci ludzie na odległym brzegu, wystarczyło, aby ktoś

cumujący łódź nosił bardzo niebieskie spodnie
albo że inny zrobił sobie właśnie z rozwidlonej gałęzi
przybór do zgarniania zgnilego siana, które wypalał.
Na wystrzępionej bluzie Magdy napis: „If you cant run
with the big dogs, STAY ON THE PORCH”. Wiatr.
A otóż i robak na szlaku w poprzek naszej ścieżyny,
gdzie był, co robił wczoraj, gdyśmy się kochali?

Dlaczego energetycy nie noszą mi- zerykordii w kieszeniach kombine- zonów

„Spotkałem ciebie na wagarach, oddałaś mi się za dolara,
łapsiura, łapsiura”, śpiewa miody ksiądz. Z gitarą, w sutannie w plakietkach,
owinięty kółeczkiem dziewczyn w obcisłych spodniach i
chłopaków z indiańskimi przepaskami na włosach. Nawet jeśli znudzone,
twarze są poważne, piosenka tak naprawdę opiewa co innego,
to Wojtek dorobił księdzu dymek z napisem jak w komiksie.
Sytuacja jest złożona, wołałbym opisywać rzeczy najprostsze:
jak sznur kawalerii przechodzi przez rzekę albo skupione trwanie u spodu przedmiotów
przezierań z rosy obracających o 180°
kulkę świata. Z twarzy ksiądz jest podobny do mojego brata.
Brat nigdy nie śpiewa, zna się za to na samochodach i prądzie, który
zabija od razu.

Glina i gumoleum

Patisonowi

Płot krzywy, brona, dostępu do ustępu bronią pokrzywy.
Żadna symetria nie ratuje tego walącego się świata.
Gliniana polepa pod gumoleum, oselki dopasowane
do dłoni, których już nie ma, i chyba wniebowzięta
z wypłowiałego kartonu kruszejącego w kapliczce nad tylnym wejściem
Matka Boska, wniebowzięta przez cierpliwe światło.
Za szybą zostały tylko zasuszone kwiatki.
Życie, zwłaszcza tak młode, w jakiś sposób ubliża
świętemu spokojowi tego domu. Rozwydrzone radio
ze sterczącym szydłem szydzi z myśli pajaków
i korników. Krzykliwe kolory skarpetek
są nie na miejscu, ledwie je utrzymują spinacze do bielizny.
Rozklejają się łóżka odwykłe od tego rodzaju
posunięć. Rozglądam się, zaglądam, wszędzie umieranie. Samo życie.

*** [Układam w szufladzie pięć harmonijek ustnych...]

Układam w szufladzie pięć harmonijek ustnych,
wieszam dream catchera na łóżkiem Dawida.
Długo jeszcze wszystko będzie nie na miejscu.
„Ale pan ma książek” — dziwił się dźwigając
właściciel bagażowej taxi. Już nie wiem,
czy książki czynią mnie mądrzejszym. Gdy śpię,
bielinek stróż ma dla siebie kapustę mojej głowy.
Grzebie mi w pamięci. Tasuje pliki, kasuje.
I budzę się znowu nie ten. Od nowa zapamiętuję,
jak ślepiec w hotelu. Nic się nie układa
w kontekst czytelny i prosty. Irytuje mnie własne,
zaszyfrowane życie. Pojadę do miasta i co?
Odsłonięte brzuchy i rąbki półdupków, ładne,
ale nic więcej. Nie jest Prawdą to, co się wydaje
tym młodym kobietom. Przypadkowe spotkania znajomych,
grzecznościowy bulgot? Lepiej zostaną w domu
i zaczną pisać romans. Będę więc zmyślać, zmyślać.

Paseczki, krataczki, desenie

Sobota, dziewczyny tlenią włosy, szykują na wieczór szalowe kreacje.
Żelazo pasów cnoty i krat w oknach utlenia się powoli, czas dogląda procesów kremacji,
czasowniki, jego asysta, prześcigają się w formach.
Nic mi nie mówi znalezione w gazecie nazwisko Jacquesa Delorme'a.
Kobieta za kierownicą. Źle zaparkowała. Choć jest jeszcze wczesnie.
policjant wypisując mandat uśmiecha się oblesnie,
zapamiętuje jej twarz, przyda mu się we śnie
po służbie. Cierpliwie rzną się Murzyni w Ruandzie i Zambii,
dwaj emeryci na skwerze rozgrywają bezbłędny hetmański gambit.

„Breaking the waves”

Pod głościczkami z subtelną skandynawską muzyką
Magda leży na brzuchu, z brodą na łokciu, nad „Zbrodnią i karą”,
piękna jak tylko można być piękną mając osiemnaście lat i jakąś nadzieję.
Miarowo uderza piętami w pośladki, nie wie, że podglądam.
Pękł już łeb lichwiarki, ruszył bieg wydarzeń. Niesłyszalnie szemrzą
przyciski nyckelharpy, miech akordeonu, płyną frazy czasu.
I ja w swoim czółenku na oceanie bezsensu.
Przelamując nieśmiałość podchodzę, liżę jej chłodne stopy.
Za oknem miasto wiedzie swój noiczny żywot,
śmiech, akord neonu powtarza wte i wewte jedną prostą Prawdę,
na półkach sklepów piętrzą się palindromy sedesów i kajaków.
Wczoraj w kinie płakała, teraz chichocze znad lektury. Niemal
każdy świat ma dwa końce, mężczyznę i kobietę.

Zawsze mów wyborcy to, co chce usłyszeć

Starość lypiąca ze swej skorupy na gibką młodość u moich ulubionych poetów.
Płaski brzuch, ptak na sztorc, kajzerki bicepsów
nie ujmują śmierci niczego. Prawdziwe umieranie
zaczyna się po czterdziestce, na razie wolno się ludzić, odmładzać
w lustrze drugiego ciała. Wypielęgnowane palce księdza
wznoszącego krwawy toast na chrześcijańskiej reklamówce.
Tylu młodych zdradzonych przez Chumbawambę. Pszczoły
znów przyleciały do kwiatów za moim oknem,
tam, gdzie światło odbite od szyby jest podwójne.

5 Maja 1998. Więc kiedy?

Przez cały czas gada. Wspomina:
swą pracę w ZPR-ach¹, w „Estradzie”, festiwalu.
pierwszy striptease w Opolu w siedemdziesiątym szóstym.
O Ewie Lubowieckiej: „Jakie *to* było ładne!” Stworzył
nowy fach: niezýjera. Po każdym nazwisku
a przed anegdotką, wąpiąc, że wiem, o kim mowa,
wtrąca wyjaśnienie: „ówczesny naczelny...”, „fotograf...”,
„wtedy nosił kamerę za Horoszkiewiczem...”, ale najczęściej: „nie żyje”.
Brudno ma w tym mercedesie. Córka dziś zdaje maturę,
prosi o tom wierszy dla niej. czytał przedwczoraj w gazecie.
Chyba mu się nie przydam do przyszłych opowieści,
nijaki, zajęty sobą i wciąż się zsuwającymi
pudłami taśm i płyt, właśnie się wyprowadzam
z radia. Plecak pełen listów, strach pomyśleć
o kłębiącym się wewnątrz wirze ludzkich spraw, nie podolałam,
choćbym życie strawił. „Patrycji Piotrowskiej”. Kocha swą córcię, więc kiedy
przychodzi do zapłaty, płacę wierszami
z dedykacją na długą noc dorosłego życia
wpisaną na kolanie. Wyprowadzam się: z błędu,
z siebie samego, z tego melodramatu, po którym zostaje woń spalin.

**** [Tutaj czas się zatrzymał...]*

Tutaj czas się zatrzymał. Siadł na rozklekotanym
krzeselku obrotowym, które kiedyś było
krzykiem mody, włożył sobie w oko
szkło powiększające. Wiedziałem, że trochę to potrwa:
nietypowy rozstaw, teleskop trzeba podgiąć,
potem pasek znów urwie się przy byle szarpnięciu.
Żółte papiery dyplomów, godło państwowe, orzeł
z koroną z papieru doklejoną jak na pośmiewisko,
za dużą. Tableau „Wychwył Grahama”

¹ZPR — Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe. [przypis edytorski]

wyjawia jakąś tajemnicę wiecznego mechanizmu
sprężyny i trybu, nie rozumiem rysunku.
Krzyki mód przemijają, zostaje milczenie epok.
Zewsząd dobiega tykanie, wielka niezgoda rytmów.
Niedzisiejszy warsztatik w centrum miasta, nie lubię
tu przychodzić, mistrz jest mrukiem. Drżą mu ręce
i mam czas przyjrzeć się wnętrzu. Tym razem
żegna mnie gorliwie: „Kłaniam się! Kłaniam się panu!”
Żegna mnie na zawsze, nieomal uśmiecha się.

Vanitas; et omnia vanitas

Oparłszy stopę, która dyktuje rytm, na aluminiowej płozie
kołyski Dawida, sięgam nad jego głowę po długopis,
aby spisywać śmierć. Najpierw była Murka
pod kołem samochodu. Potem Mini zniknęła tajemniczo,
jakby uprowadził ją palestyński kontrwywiad. Kilka dni temu
zdechł Kosma wyniszczony biegunką, nie pomogła kroplówka ani pocałunki,
do ostatka miauczał, wzywając pomocy. Teraz przychodzi wiadomość,
że Marylou zginęła w wypadku na motocyklu, w pogoni za wiatrem. A jeszcze niedawno
znalazłem w łazience jej spóźniony włos. Teraz te włosy marnieją
gdzieś we francuskiej ziemi. Czeźnie młode ciało. Mój trzymiesięczny syn
stroi mądre minki i śle chytry, zwycięski uśmieszek.
Coś wie. Jest może jednym z palestyńskich zwiadowców.

Kult ciała

I

Biała rzeźba chmury spiętrzona jak lodowiec. Świetlana
postać, sferyczna przodownica, nieskalana Świetlana
prze naprzód. Zmienia swe proporcje
jak silacz zapracowujący na pamiątkowe proporce
godzinami mordęgi nad każdym modulem muskulatury
poddawanej co miesiąc, w świetle, osądom jury. Niezawisłe chmury.

Buso! kołuje nad łąką. Wróble, szara, dziarska
gromada rozsypuje się na asfalcie niczym szaradziarska
kombinacja punktów, które połączywszy gmatwaniną linii,
otrzymasz klarowny obraz. Ciamka, oblizuje się, ślini
leszcz jadący sprzedawać się w Berlinie, prawdziwe widowisko, jak zmysłowo je gruszkę.
Przed snem pocałunek: wyciera starannie usta o plecak służący mu za poduszkę.

Ja wysiadam niedługo. Też sobie pozwolę na luksus
soczystego owocu, wciąż czuję w żołądku ostry kuksaniec kuksu.
O, trzymający w dłoniach gędziebne naczynia, wolni od trup i grup
powietrzni muzykanci, gdzie mój trup znajdzie grób?
Kto odda niesprawiedliwość wymyślonym zaletom?
Kto mnie opłacze waletą? Kto pójdzie za lawetą? Damy przeciwko waletom?

II

Kiedyś strażnicy grobu nieznanego żołnierza, odporni na wiatr i żarty
rekruci sztywni jak knoty zastaną przy zmianie warty
odwalony kamień. Oszaleje wojskowa żandarmeria. Tłumnie
zwałą fotoreporterzy, by uwiecznić pustkę w urnie czy trumnie.
Już widzę, jak główny strateg stratą gieroja się martwi.
A to może i dobrze, że po wszystkim jesteśmy tak niedoskonale martwi.

Znam takich. Z papierosem w zębach i w dresie
młody sukinkot trafia raz za razem, pewnie pewien, że się
nie zestarzeje, przenigdy. Obwieszcza to niebu krzykiem.
Za pięć lat będzie kolejnym chodzącym nieboszczykiem
z trudem trafiającym do domu, co dopiero do kosza. Że też się nie zmęczy,
znów wsadził piłkę od góry i zawisł na obręczy.

Cóż znaczą w tej poździe nasze sknocone ciała, woskowa żandarmeria
moralnych zasad, stearyna starań? Żądam berła
i buławy, ogniotrwałej motyki, strażackiego bosaka i idę jak w dym,
na bosaka, przez labirynt mowy. I wracam niepyszny, ucięty jak męski rym.
Śmierć, to ci figura. A jaki cień. Myślałem, że gdzieś poleciała.
Lecz przesuwa się ku mnie, na wolne pole ciała.

Rozproszenie

Listy, od Iwony („W dodatku przed wejściem do studia
strasznie pudrują...”) i Magdy („Dziś byłam 2 razy w kościele,
chyba diabeł we mnie wstąpił”). Przejechał pociąg.

Ucichł.

W kokonie kościelnej wieży urodziła się północ.
Ktoś młody zaśmiał się głośno. Cień mojej głowy na płótnie
namiotu. W latarce nowe baterie. Mucha równo oddycha, śpi.

Starość jak głupia, spóźniona woźna
nachodzi wiecznego szóstoklasistę zakochanego po uszy,
który został we mnie jak w kozie na zawsze.
Jeszcze raz do mnie wróciło to przedhistoryczne uczucie,
zapał, by wyryć na pulpicie niepierwsze inicjały.

Zburzone będą Kraków, Sandomierz i Tarnów,
dumne ze swej urody miasta naszych spotkań.
Dziki zwierzęta zادهczą miejsca, gdzie drżymy pośród traw.
Chthoniczne maszyny, ciągnąc żelazne brony, już idą po naszych śladach.

Krzesto prawdy

Sposób, w jaki ona chodzi. To, że czeka na peronie.
Albo, że się uśmiecha. Śmieje się jak chłopak, widać wszystkie zęby.
Rozpoznaję jej zapach. Piersi jak odwrócone spodki, żeberka żeber.
Ponazywać to wszystko, złożyć. Mówi o Oświęcimiu: nie jedź,
mniejsza o stopy okularów i lalek, ale tam wciąż wszystko śmierdzi
spalonymi włosami. Obcałowuję jej pięgi na nosie i policzkach,

„skandynawska uroda”, coś między Liv Ulmann a Pippi Langstrumpf. Dlaczego, dlaczego drży przy byle okazji. Powtarzamy swoje imiona niczym daremne zaklęcia. Pojutrze skończy siedemnaście lat, powinna być szczęśliwa z tym zapałem do rollersów, narciarstwa i Mikołaja Gomółki. Obejmując się mocno, idziemy na wystawę narzędzi tortur z epoki procesów o czary.

Chtópcy z Placu Broni

Wychodząc na boisko w czerwono-zielonym rzędku,
znów mam 15 lat. Jednak łysinka Witka przede mną,
brzuski tam i sam jak niepotrzebne skarbcie
nie zostawiają złudzeń: gram z oldboyami. Sędzia
niedowidzi, więc kłóć się jak dzieci, chcą się bić.
Złudzeń, złudzeń! W szatni, w której na zawsze
utrwalił się smród tyłu porażek i zwycięstw,
rozpamiętują pojedyncze zagrania. Studiuję wybity palec
i z falą bólu przychodzi fala zrozumienia, znajomy skurcz.
Chciałbym, żebyś tu była. zobaczyła te ciała
kuśtykające pod prysznic a potem żebyśmy poszli
przed siebie, między wschodzące trawy i tysiącletnie kamienie
mało co mówiąc, chyba o nieważnych drobiazgach, najwyżej.

Kalejdoskop

Żadnego użytku z tych barwionych szkielek.
Życie nie chce się tak ułożyć, łamie symetrii osie,
pozbawia logiki ciągu zdarzeń. „Dla dzieci od lat 4”.
Już teraz pociąga Dawida uładzone bogactwo, widać to,
gdy zachwyty zakwita na skupionej twarzyczce. Zachwyty,
rzecz obosieczna. Nigdy mu nie powiem, że to prosta
sztuczka, trochę światła i zmyślny układ lusterek, ten cud.

Usta — usta

Marcinowi „Siwy Włos” Świątlickiemu

*Bo wiersze wolno pisać rzadko i niechętnie,
pod nieznośnym przymusem i tylko z nadzieją,
że dobre, nie złe duchy mają w nas instrument
— Czesław Miłosz, „Ars poetica?”*

W domu jest zimno. Bezludne pokoje,
nie ma ani jednej Lidki. Co mam zrobić?
Frytki? Wietnamską zupę w 3 minuty?
Cyka nakręcony budzik. Również syn sąsiada
biega za oknem jak nakręcony. Każdy mechanizm
zatrzyma się kiedyś. Ustaną usta ustaszy
nawołujących do zrywów. Wyczerpią się możliwości
każdego z tysiąca języków. Skończy się piękno kobiet.

Przyjdzie lodowiec i przestawi figury widoków,
wykona kilka szybkich, górotwórczych ruchów.
Trzyminutowa zupa w milion lat. Włączam muzykę,
umpa-umpa, które nie zastąpi mi kobiety i dziecka.
Sąsiad rozgląda się czujnie, wypompowuje na niczyją łączkę
nieelegancką zawartość szamba, przez całe życie
nie napisał, twarżdziel, ani jednego wiersza.

*** [Atakowany o północy...]

Atakowany o północy
subitem opon, gdy jak z procy
pijany szczył startuje mazdą —
tęsknię do tego kraju, gdzie grzechem jest popsuć bocianom gniazdo.

Budzony przez bas, przez dudnienie,
bo sąsiad na fulil w citröenie
zapaścił techno, nowy remix —
tęsknię do tego kraju, gdzie podnosi się kromkę Chleba z ziemi.

Czytając dawnych czasów księgi,
gdy inne tu rządziły dźwięki,
żaby o zmierzchu, kogut rano —
tęsknię do tego kraju, gdzie grzechem jest popsuć gniazdo bocianom.

Dziwiąc się, że góra pieczywa
wśród zwałów sztucznego tworzywa
na miejskim śmietniku się wznosi —
tęsknię do tego kraju, gdzie kromkę Chleba z ziemi się podnosi.

Erem zwiedzając, gdzie mizantrop
turystów epatuje mantrą
znudzony nią jak tysiąc mopsów —
tęsknię do tego kraju, gdzie jest grzechem gniazdo bocianom popsuć.

Filując z przydrożnego baru
na przechodzące mimo pary,
ciągnąc z wysiłkiem sok przez słomkę —
tęsknię do tego kraju, gdzie się podnosi z ziemi Chleba kromkę.

Gdy syn bez wątpliwości cienia
żąda: „Daj mi coś do zjedzenia”,
lodówka odpowiada echem —
tęsknię do tego kraju, gdzie popsuć bocianom gniazdo jest grzechem.

Higienę ciała utrzymując
lub ją, przeciwnie, zaniedbując
(cóż różni prysznic i pogrzebacz?) —
tęsknię do tego kraju, gdzie z ziemi podnosi się kromkę Chleba.

Imagując sobie Boga.
Na przykład jako Astro-loga
dyktującego ruchy gwiazdom —
tęsknię do tego kraju, gdzie grzechem jest popsuć bocianom gniazdo.

Jadąc i jadąc do Bizancjum
z ukrytą pod dnem snów monstrancją
przeciw wieszczbiarstwu i alchemii —
tęsknię do tego kraju, gdzie podnosi się kromkę Chleba z ziemi.

Kombinując jak koń pod górę,
skąd wytrzasnąć pieniędzy furę
i jak dwóm naraz służyć panom —
tęsknię do tego kraju, gdzie grzechem jest popsuć gniazdo bocianom.

Licząc w mordowni w Jeseniku
zastępy szachów na stoliku
starców liczących każdy grosik —
tęsknię do tego kraju, gdzie kromkę Chleba z ziemi się podnosi.

Łypiąc ciekawie, jak się zwiera
czarnych i białych tyraliera
w wojnie o jednej rurce dropsów —
tęsknię do tego kraju, gdzie jest grzechem gniazdo bocianom popsuć.

Mając mistrzowski ruch na oku,
który przegapia w figur tłoku
gracz — a mógł wziąć hetmana pionkiem —
tęsknię do tego kraju, gdzie się podnosi z ziemi Chleba kromkę.

Nocując, gdzie się da, mocując
się z samym sobą, ustępując,
jak ustąpiły gonty, strzechy —
tęsknię do tego kraju, gdzie popsuć bocianom gniazdo jest grzechem.

Obserwując, jak nasze dzieci
obnoszą swój chybiony sprzeciw
poprzez kolejne puste nieba —
tęsknię do tego kraju, gdzie z ziemi podnosi się kromkę Chleba.

Pchany już w otworzone okno
przez zbójów, bo ich widać dotknął
mój bunt w pociągu, w którym kradną —
tęsknię do tego kraju, gdzie grzechem jest popsuć bocianom gniazdo.

Rewidowany nocą późną
przez umundurowane gówno
hańbiące się dla nędznej premii —
tęsknię do tego kraju, gdzie podnosi się kromkę Chleba z ziemi.

Słuchając wycia pogotowia,
co, mimo strajku służby zdrowia,
mknie przeciw ciosom, guzom, ranom —
tęsknię do tego kraju, gdzie grzechem jest popsuć gniazdo bocianom.

Taksując wzrokiem wygląd bydła,
gdy w czystej rzece brud swój mydła
głupi, lecz piękni: nadzy, bosy —
tęsknię do tego kraju, gdzie kromkę Chleba z ziemi się podnosi.

Uzupelniając swój fikcyjny
numer identyfikacyjny

o ładnych parę paradoksów —
tęsknię do tego kraju, gdzie jest grzechem gniazdo bocianom popsuć.

Wysłuchany w pieśni i motety
z trzynastowiecznej Francji, z mety
czując się trubadurów ziomkiem —
tęsknię do tego kraju, gdzie się podnosi z ziemi Chleba kromkę.

Zirytowany przez imbroglia
frondy prawiczków w piśmie „Brulion”,
grzeszący samym już oddechem —
tęsknię do tego kraju, gdzie popsuć bocianom gniazdo jest grzechem.

Żywiąc się kaszą oraz mўsli,
zwolniwszy bieg wzburzonych myśli,
kiedy mi coraz mniej potrzeba —
tęsknię do tego kraju, gdzie z ziemi podnosi się kromkę Chleba.

Ktoś, kiedyś

Po pracowitej nocy lub — wszystko jedno — orgii
ktoś kiedyś zostanie obudzony dzwonkiem
do drzwi. Ze stopami ciężkimi
jak gdyby brodził w wodzie
odbierze przesyłkę za dużą,
aby zmieściła się w skrzynce.
Wierzę, że skrzynki i dzwonki
przetrwają. Na przykład „Antologia
polskiej poezji rytmicznej”,
coś koło tysiąca stron.
I przyrządzając, zależnie od majątności,
pot-pourri z frutti di mare albo grochówkę z proszku,
otworzy książkę przypadkiem
akurat na moim wierszu (przypadek to mój jedyny
sprzymierzeniec w niepewnej krainie przyszłości).
Pięć sekund zamyślenia i słabość w ręce kręcącej
łyżką młynki w naczyniu, o ile słabość przetrwa.
„Czytelnik”, mój jedyny. I to będzie jedyny
całej tej pisaniny, mówiąc wulgarnie, sens.

Nietzsche: hańbą jest być szczęśliwym!

Doglądam umocnień. Tracę kontakt z nierzeczywistością,
mówię: nie wiem, nie znam, nie oglądam, nie słucham.
Jeszcze gazety. Nigdy nic nie zrobiłem dla torturowanych.
Jakże zazdroścę tym, co nie wierzą w Oświęcim.
W piętnaście lat po Hitlerze świat podbił rock'n'roll!
Simone Weil miała moje lata, kiedy się zagłodziła.

Historię, biologię, nauki „ścisle” — wszystko ułożyliśmy sobie tak,
żeby usprawiedliwiało. Orgazm, „mała śmierć”. A przyjemność duża.
Uśmiech pohańbienia na twarzy kobiety, uśmiech oprawcy na twarzy chłopca lub od-

wrotnie.

— Czy warto rozdrapywać rany? — A co, zagoiły się?
Odkąd pamiętam, chciałem wydać tom wierszy pod tytułem „Nie”.
Więc się umacniam. Tu poprawię zapalkę, tam dołożę cierń.

Próba czasu

Rzeczoznawca znalazł się na rzeczy.

Omiótł wszystkie kąty taksującym spojrzeniem. Okrutnym i smutnym, jakby znał wartość

płyty gramofonowej wiezionej z wakacji po przekątnej Polski
 lub ukrytego w szafie paska testu ciężowego z ledwie widocznym plusikiem.

Osierocane psy i pająki, kurze w zakamarkach.

Zimno jak wtedy. Pół milimetra, o jakie spadnie
 słupek rtęci w ściennym termometrze, gdy ustanie krzątania
 przeprowadzki. Przycinanie ogona, palenie sterty listów.

Zamierzchłe czasy odnowione na chwilę jak fresk w deszczu.

„Drabczyk pisał mi, że i od niego wycofałeś swój arkusz.

Cóż się dzieje z tobą? To chyba czwarty w ostatnim czasie”.

„Zajmij wreszcie w tej Warszawie jakieś fajne mieszkanie, ile lat będziesz ciecieniem?”

„Praca w radiu jest. Mieszkanie masz za darmo w Dobrzeniu u Kaczyńskich,
 prawie na 100%. Cztery pokoje, łazienka, przedpokój jak salon”.

„Ale cię chwala. Tylko nie wiem, co znaczy słowo aliteracje.

Napisali też, że operujesz tanimi chwytami poetyckimi,
 może byś wydał książkę z tymi chwytami?”

„Wysiadłem w Kłodzku, widziałem po drodze soczysty las, góry,
 no i chmurno-promienistą Rzeczywistość. Zdaje się, że przez chwilę byłem Adwajta”.

„Koresponduję z takim dziwnym facetem z N. Y.

Dostałem adres firmy wysyłającej za darmo świerszczyki.

Pierdolnąłem się o parę cyfr i napisałem do Hudsona”.

„Przez wakacje mieliśmy się zastanowić nad tematami 'Maski w życiu — hipokryzja'
 i 'Dlaczego kocham życie'. Mógłbyś mi trochę podpowiedzieć? A z tą cenzurą

to chyba przesadzasz, tracić szansę druku w fajnym wydawnictwie tylko dlatego,
 że jeden facet uważniej przeczyta nasz wiersz?”

„Kasia porzuciła mnie. Szkoda tylko, że kiedyś
 wymawialiśmy wobec siebie piękne i wielkie słowa”.

Rzeczoznawca, hm. Jakoś tamte słowa
 nie straciły wartości. Wieczne zachwyty młodości.

Lidka egzotyczna jak ukwiał. Zwy, echa

w moim opustoszałym wnętrzu. Cykle. Sentymenty,

pamiętki. I nakładany na nie

lukier teraźniejszości. Dawid

cały w onomatopejach. Klaruje nowiny o

łołołach, brumbrumach, ciufciach i kwakwach.

Radio całą dobę

nadaje komunikaty. Powódź pięćsetlecia. Wciąż mkną iju-iju

i śmigłowce kołują nad rozlewiskami. Woda coraz wyżej,

na mostach kolejowych zaparkowano krowy i po raz pierwszy zbratane
 z nimi błyszczące auta, rosną góry gnoju.

Czas próby. Pedaluję powoli wzdłuż wsi, rowerem w wodzie po osie.

Potwierdza się, co już wiedziałem: wątły był

każdy fundament. Żadne obwałowania. Przegrałem.

Nic nie znaczyłem (Lidka: „nie możesz mnie nawet
 obrazić. Twoje słowa

nic nie znaczą”). Płacze ostatni raz
używszy niechcący słowa „kochanie”, siły nawyków
rozpanoszyły się w nas, do ostatniej chwili
strzyżono trawniki, patrzono w telewizory i nie wierzono,
choć wojewoda w radiu już płakał, błagając
o ewakuację. Pojawiły się w mieście
pierwsze jaskółki trupów.
Całkowicie
zerwana
łączność.
Telefony komórkowe — do wyrzucenia. Na nic telegrafy.
Samochody — na nic. Amfibie — na nic. Wiersze na nic. Zostałem, zostaliśmy, staliśmy
się
niepotrzebni jak akustyka wypróżnionych kościołów.
Jak wnętrza sprzedanych domów pełne
faktów uznanych za niebyłe.

Sobie na 33 urodziny

Kraków za oknem schodzi do swojego
podziemnego alter ego po dwudziestu stopniach mrozu, sztywno,
o kulach kościelnych wież, gdy ja patrzę w lustro nieudolnie
podrabiające rysy twarzy, powtarzające układ zmarszczek i pasm włosów.
Teraz, wypalony, mogę Go zrozumieć. Gówniażeria wrzeszcząca:
„Nie wierz nikomu po trzydziestce!” miała rację. Oto najlepszy moment,
ostatnia chwila, by dać się powiesić nago na publicznym widoku, oblać się benzyną
i ostatni raz stanąć w ogniu samego siebie, w imię idei, zanim przestanie być ważna,
zanim stanę się zimnym wyjadaczem ciepłych resztek z wagin
coraz młodszych dziewcząt, nędzniejszym od kurwy harasymowiczem odcinającym
kupony od własnej niesławy czy małym humerkiem zasłaniającym się niepamięcią
jak tarczą. Niezdolny do Miłości staję się zdolny do wszystkiego
innego, reszta to proste mechanizmy. Gerentokracja...
I ten rozmydlony Stachura miał rację: kochać można i tak, jak się przenosi góry:
siłą woli. Na starość zostają tylko wyuczone za młodu triki,
śmieszne zapamiętane cytaty, zapamiętane powtarzane. Będę wracał przed to lustro.

Powrót do Anny Marii

Wracam do mojego domu pachnącego parką, pomyjami, popiołem i pastą
do podłóg.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam do miejsc olśniewająco jasnych i czystych.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam do bólu Matki, której zwrócono właśnie umęczone ciało syna.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam do prostego języka dzieci.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam do Karuska bez końca zataczającego większe i większe kręgi spirali.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam do chłopca porzuconego na klatce schodowej w Łodzi i potem jeszcze podrzucanego tu i ówdzie.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam do ziemi, bo wypełniają się moje małe proroctwa.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam na szpotawych stopach, niosę raka prostaty, żylaki odbytu i achalazję, do majowego poranka, gdy nogi niosły mnie same.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam na Mały Rynek w Krakowie, w bezbrzeżną pustkę, do NIC, które było we mnie od samego początku.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam do drzenia, które jest moim jedynym imieniem i jedynym nazwiskiem.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam z krainy, gdzie próżny urok słów bywał mi pocieszeniem.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam na odpychające łono Kościoła, który przykazał mi Miłość, więc posłuchałem go.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam na puste pola po swój plugawy plon poczęty ze światła będącego uludą.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam po znak krzyża zostawiony kiedyś na czole niemowlęcia.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam jako truposz, zombie, wydrążony ludź, bo dałem z siebie wszystko i zostały we mnie tylko śmiecie.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam niegodny wiązać sznurowadeł tym, którymi gardziłem, pamięć jak zepsuta sekretarka powtarza w kółko „Nie jestem godna, żebyś mnie dotykał”, wywyższałem się i słusznie mnie karzesz.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam pomiędzy rupiecie czekające aż czas dokończy dzieła a potem wracam na swoje miejsce, do świata zapachów.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam do wszystkich niemęskich scen, jakie były moim udziałem.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam, jako popychadło, do warsztatu mojego Ojca.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam nad szpitalny kojec aby patrzeć na swego półrocznego syna.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam na podwórko, na którym godzinami kopałem kapsel od wina,
ponieważ przebywałem w innym świecie.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam do swoich pierwszych posunięć w grze, której reguł nie pojąłem, więc nie wiem,
gdzie są dziś moje błędy.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam do Głodu, ale nie potrafię już go poczuć.
Nasze życie należy do Ryby.

Wracam do brzucha, gnieźdź się.

Wracam z podróży, w której wiodło mnie bicie utajonego serca zegara,
jeszcze przed chwilą coś drgało w połamanych mechanizmach, poruszało
się, próbowało się powtarzać, wreszcie umilkło.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/podsiadlo-wychwyt-grahama>

Tekst opracowany na podstawie: Jacek Podsiadło, Wychwył Grahama, Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1999.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

ISBN 978-83-288-5232-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).